

Władysław Broniewski

Elegia o śmierci Ludwika Waryńskiego

Jeżeli nie lękasz się pieśni,
stłumionej, złowrogiej i głuchej,
gdy serce masz mężne i jeśli
pieśń kochasz swobodną - posłuchaj.

Szeroka, szeroka jest ziemia,
gdy myślą ogarnąć ją lotną,
szeroko po ziemi więzienia,
głęboka w więzieniu samotność.

Już dźiąsła przeżarte szkorbutem,
już nogi spuchnięte i martwe,
już konie, już płuca wypłute -
lecz palą się oczy otwarte.

Poranek marcowy. Jak cicho.
Jak dziwna się jasność otwiera.
I tylko tak ciężko oddychać,
i tylko tak trudno umierać.

Posepny jak mur Schlüsselburga,
głęboki jak dno owej ciszy,
zza krat, z więziennego podwórka
dobiega go śpiew towarzyszy.

I słucha Waryński, lecz nie wie,
że cienie się w celi zbierają,
powtarza, jak niegdyś w Genewie:
- Kochani... ja muszę do kraju...

Do Łodzi, Zagłębia, Warszawy
powrócę zawzięty, uparty...
ja muszę... do kraju, do sprawy,
do mas, do roboty, do partii...

ja muszę...- I śpiew się urywa,
i myśli urywa się pasmo.
Ta twarz już woskowa, nieżywa,
lecz oczy otwarte nie gasną.

Gdzieś w górze, krzykliwy i czarny
rój ptactwa rozsypał się w szereg,
jak czcionki w podziemnej drukarni
gdy nocą składali we czterech...

Fabryka Lilpopa... róg Złotej...
Żurawia... adresy się mylą...
roboty... tak, wiele roboty...
i jeszcze - dziesiąty pawilon...

Ach, płuca wypłute nie bolą,
śmierć w szparę judasza zaziera,
z ogromną tęsknotą i wolą
tak trudno lat siedem umierać.

Wypalą się oczy do końca,
a kiedy zabraknie płomienia,
niech myśl, ta pochoćta płonąca,
podpali kamienie więzienia.

Raz jeszcze się dźwignął na boku:
- Ja muszę... tam na mnie czekają... -
i upadł w ostatnim krwotoku,
i skonał. I wrócił do kraju.